

Sławomir Zatwardnicki: Sekty a niebo

Serial oddaje niewdzięczne zadanie Kościoła „na dziś”: zamiast wzywać ludzi do wiary w to, co nadprzyrodzone, trzeba mu z nadprzyrodzoną wiarą i surowością bronić tego, co przyrodzone: stworzenia, w tym biologii (dwie płcie), małżeństwa (nie od razu jako sakramentu, lecz najpierw jako związku wynikającego z samej natury mężczyzny i kobiety), rozumu przed współczesnymi jego kontestacjami i ich konsekwencjami – ucieczkami w irracjonalność.

Wszelkie podobieństwa tytułu niniejszego felietonu do nazwy sekty oraz tytułu filmu o sekcie nieprzypadkowe. Jednak nie o sekcie i nie o filmie chciałbym tutaj pisać, nawet jeśli tu i ówdzie coś o nich napomknę. Swoją drogą jest coś niesamowitego w tym fenomenie, że trzy dekady po zakończeniu działalności sekty Niebo można z uwagą, której sam po sobie się nie spodziewałem, śledzić losy bohaterów (i antybohaterów) serialu. Musi to chyba oznaczać, że jest w temacie podjętym przez Bartosza Blaschkego coś aktualnego, co warto wziąć „na warsztat”.

Nie dla nieba na ziemi

Jak każdy w ogóle problem, tak problem sekt sprowadza się do fałszywej teologii. Jeśli teologia jest niczym mniej i niczym więcej niż refleksją rozumu nad tym, co Objawione przez Boga, to niewłaściwe pojmowanie Objawienia – a włączyć w to trzeba także rezygnację z jakiegokolwiek próby zrozumienia, na zasadzie „nie ma tematu” – musi

prowadzić do mniej lub bardziej destrukcyjnych konsekwencji. Bo przecież, jak wierzymy, Bóg przekazuje prawdę, a nie wprowadza ludzi w błąd, a prawda ta jest niezbędną dla zbawienia, do którego, czy człowiek sobie z tego zdaje sprawę czy nie – został powołany.

Jednym z ważniejszych w moim przekonaniu błędów w odczytaniu Objawienia jest ten polegający na pomieszaniu porządku czasu z wiecznością. Ponieważ Chrystus już przyszedł, wydawałoby się, że mamy prawo oczekiwać Królestwa Bożego na ziemi. A tymczasem ani sam Jezus jako Król, ani tym bardziej Apostołowie jako Jego ambasadorowie nie głosili spełnionego Królestwa Bożego. Tym bardziej nie tak naucza Kościół, notabene depozytariusz Objawienia – ale kto tam chciałby słuchać Jego nazbyt wyważonej nauki? Zwłaszcza osoby w pozytywnym lub negatywnym tego słowa znaczeniu „nawiedzone”, szukające za wszelką cenę mistycyzmu, mogą mieć z Kościołem problem. Kościół, całkiem zresztą słusznie, rękami i nogami, a także ustami (nauczanie) broni się przed nadmiernym „uduchowieniem” czy też przed wiarą, która miałaby zdominować rozum. Zwłaszcza Kościół katolicki świecił tu zawsze przykładem, i oby tak pozostało, że nie pozwoli wierze na tego rodzaju „pranie mózgu”, które wynaturza również samą wiarę.

Jest to akurat prorocze zadanie Kościoła dobrze oddane w filmie *Niebo. Rok w piekle*. Egzorcyzmujący Sebastiana ksiądz poza modlitwą jawi się racjonalny do bólu, odwołuje się do rozumu i do podstawowych mechanizmów psychologicznych, które wychwyciłby, z większą zresztą empatią, pierwszy lepszy psychoterapeuta. W ten proroczy sposób serial oddaje niewdzięczne zadanie Kościoła „na dziś”: zamiast wzywać ludzi do wiary w to, co nadprzyrodzone, trzeba mu z nadprzyrodzoną wiarą i surowością bronić tego, co przyrodzone: stworzenia, w tym

biologii (dwie płcie), małżeństwa (nie od razu jako sakramentu, lecz najpierw jako związku wynikającego z samej natury mężczyzny i kobiety), rozumu przed współczesnymi jego kontestacjami i ich konsekwencjami – ucieczkami w irracjonalność.

Tymczasowa nieobecność Królestwa

Wracając do zapowiedzianej wyżej kwestii mieszania porządków – mamy tutaj do czynienia z wieloaspektowym fenomenem, składającym się z kilku warstw. Po pierwsze sam Kościół jest już „owocem” owego pomiędzy, w którym żyjemy: w Chrystusie już nastąpiło Królestwo Boże, ale jego pełni oczekujemy dopiero w chwale. Po drugie, Kościół głosi sam o sobie, że nie jest jeszcze Królestwem Bożym, lecz dopiero stanowi – cokolwiek miałyby to znaczyć – „załążek oraz zaczątek tego Królestwa na ziemi” (*Lumen gentium*). I po trzecie, w samym Kościele również widoczne są podobne tendencje, co poza nim – do sprowadzania Królestwa Bożego na ziemię.

Kościół próby te „cywilizuje”, ukościelnia (by nie powiedzieć „uziemia”), a czyniąc to siłą rzeczy łagodzi ostrze radykalizmu, który sam w sobie nie jest przecież wartością najwyższą. Bogdan Kacmajor, pierwowzór Piotra z popularnego serialu, nie zgodziłby się na takie kompromisy. I dlatego on sam, a jeszcze bardziej jego zwolennicy, musieli doświadczyć upadku już na tym podstawowym poziomie. Nawet gdyby w sekcie tej nie działał zły duch, a jedynie dobre intencje. (Choć akurat w tym przypadku skłaniam się do uznania, że nie tylko zła teologia i źle użyta psychologia, ale także demoniczna strona dała o sobie znać – wnioskuje tak na podstawie przeprowadzonego kiedyś dla „Brulionu” przez Roberta Tekielego wywiadu z założycielem sekty Niebo oraz Zbigniewem Sajnogiem, jego prawą ręką; notabene Sajnog

nazwany przez guru „Aniołem rowerowym” lub „Ambasadorem” w innych wywiadach podkreśla, że wpływ Kacmajora dokonywał się na poziomie duchowym).

Spróbujmy pomedytować nad wspomnianymi w poprzednim akapicie wszystkimi trzema warstwami, które zachodzą zresztą na siebie. Można tutaj przywołać Josepha Ratzingera, który pisał o Kościele, że mimo iż w swoich podstawowych elementach ustanowiony przez samego Chrystusa, jest jednak dziełem Ducha Świętego, które powstało dopiero po odrzuceniu wiary przez Izraela, w warunkach „tymczasowej nieobecności Królestwa Bożego”. Ostatnia fraza jest tutaj decydująca dla tego, czym Kościół jest: jeśli o jego istocie decyduje niezaistnienie Królestwa Bożego, wtedy Kościół ani sam nie może być tym Królestwem, ani też nie może głosić nastania tego Królestwa, gdyż byłoby to tożsame z końcem Kościoła.

To z kolei tłumaczy, dlaczego mylą się ci, którzy uważają, że gdyby Kościół był wierniejszy Chrystusowi i żył bardziej ewangelicznie, nie stanowiłby pożywki dla sekt. Taki pogląd należy odrzucić, nawet jeśli jest prawda w tym, że sekty w jakiś perwersyjny sposób pasożytują na Kościele. Kościół z samej swojej natury nie może żyć Ewangelią na sposób jeden do jeden Chrystusowy, bo nie jest Chrystusem i wie, że nie nastąpi jeszcze Królestwo Chrystusowe. Nie może też Kościół ograniczać się tylko do tych najbardziej radykalnych wierzących, gdyż właśnie wtedy przestałby być Kościołem powszechnym, a stał się sektą. Jak pisał Hans Urs von Balthasar, „czysty i przemądrzały Kościół, który uderza w stary, zakurzony, nie jest Kościołem, tylko sektą”.

Powiedziawszy to, można już tylko dodać kropkę nad „i”: dobrze jest, jeśli w Kościele znajdują się miejsca, w których odkurza się Ewangelię, i ludzie, którzy próbują w sposób bardziej czytelny żyć Ewangelią. Tylko i aż tyle.

Kościół bardziej kościelny

Być może dla P.T. Czytelników powyższe stwierdzenie Ratzingera o „tymczasowej nieobecności Królestwa” jest podobnie szokująco-odkrywcze, jak stało się swego czasu dla mnie samego. A przecież przyjęcie tej zaskakującej w pierwszym odbiorze konstatacji pozwala satysfakcjonująco wyjaśnić problem radykalnych tendencji w Kościele i poza nim (a często w kontrakcji względem niego).

Co rusz próbuje się tworzyć nowe wspólnoty, rzekomo bardziej kościelne od samego Kościoła, który, jak uznają co bardziej mistycznie (pobożnościowo, charyzmatycznie – niepotrzebne skreślić) nastawieni wierni, utracił smak soli i radykalizm Ewangelii. Również w samym Kościele nie brakuje takich usiłowań – dość powiedzieć, że dają one o sobie znać w środowiskach charyzmatycznych, a w innej formie także i w życiu konsekrowanym, jeśli ktoś chciałby w nim widzieć coś więcej niż oczekuje Kościół. Konsekrowani wierni decydują się, twierdzi się w Katechizmie, by głosić „chwałę świata, który ma przyjść, oraz być jego znakiem”. Raz jeszcze: tylko i aż tyle.

Czy Państwo wiedzą, że jeszcze taki św. Bonawentura, kontynuator misji św. Franciszka, uznawał, iż w ramach historii ziemskiej nastanie okres Kościoła kontemplacyjnego, w którym mistyczny wgląd w Objawienie stanie się udziałem wszystkich chrześcijan? W każdym

razie w obliczu niespotykanego wręcz radykalizmu tamtego okresu trzeba było, co odnotował G.K. Chesterton w książeczce poświęconej Biedaczynie z Asyżu, „rozstrzygnąć, czy chrześcijaństwo ma wchłonąć Franciszka, czy Franciszek chrześcijaństwo”. Innymi słowy: „Kościół mógł objąć wszystko, co było dobre we franciszkanach, a franciszkanie nie mogli objąć wszystkiego, co było dobre w Kościele”.

Nie, nie chcę przez to powiedzieć, że w Kościele istnieją tego samego rodzaju sekciarskie tendencje, jak poza nim. Ani tym bardziej że przywódców sekt wolno zestawiać ze świętymi nonkonformistami w Kościele. Wskazuję tylko na to samo źródło błędów, które, gdy nie zostanie rozpoznane, będzie musiało się okazać – na mocy odrzucenia samej prawdy – niszczące dla wiernych. Wysilek skierowany na prowadzenie tego Królestwa Bożego, które jest obiecanie w chwale, na ziemię musi skutkować przegięciami i nadużyciami, które w soczewkach sekt widać „jak na dłoni”. W sekcie Niebo oczekiwanie nieba na ziemi widać zarówno w początkowo niby-sielankowej atmosferze wspólnoty jakoby wzorowanej na Kościele pierwotnym, a także w wierze, że można wyleczyć wszystkie choroby, jeśli tylko radykalnie zerwie się z jego przyczyną – grzechem.

Kościół odrobił lekcję, i dlatego wraca ona w sektach w innej, bardziej karykaturalnej postaci do ponownego odrobienia. Powiedzieć, że sekty muszą istnieć, byłoby błędem. Ale oczekiwać, że sekciarskich predylekcji można się pozbyć, byłoby chyba jeszcze większym błędem. Trudno jest utrzymać się na wąskiej dróżce łączącej czas i wieczność, podobnie jak trudno jest balansować na linie. To da się zrobić, ale nie od każdego trzeba wymagać takiej umiejętności. Dobrze byłoby, żeby przynajmniej synowie Kościoła potrafili pojąć jego misterium, które

właśnie na takiej „linie” zostało zawieszono w obecnym czasie. A czas ten jest właśnie czasem Kościoła – do końca świata i ani jeden dzień dłużej.

Sławomir Zatwardnicki